

brudna niedziela

Dom lśni czystością. Mój mąż odsypia wczorajsze negocjacje, które trwały do późna. Zresztą, nawet gdyby nie spał, nie odezwałby się pewnie do mnie ani słowem. No może zapytałby, kiedy będzie obiad.

Tak właśnie wygląda uporządkowane życie – ręczniki poskładane w kosteczkę, koszule wyprasowane, podłoga wypastowana, świeże kwiaty w wazonie. A do tego bajzel – rozbabrane emocje, poplamione uczucia, skryte pod dywanem roztrzęsienie dnia codziennego.

Mam dość takiego porządku. Ten porządek mnie dobija. Zabiera mi życie. Nie mogę już dłużej, duszę się. Podchodzę do okna, chcę je otworzyć, żeby trochę świeżego powietrza dostało się do środka. Ale okno nie chce się otworzyć. Szarpię mocniej, ale to nic nie pomaga. Jakub podchodzi do mnie, odsuwa mnie i mówi:

– Nawet okna nie potrafisz otworzyć – syczy ze złością. Łapie za klamkę. Szarpie z całej siły. Nadyma się i odłamuje plastikową klamkę. Myślę o sile nagle pojawiającej się w mężczyźnie, który łamie plastikowe klamki, niszczy ogrody, wysusza rzeki, zabija narody, gwałci, dusi, zabiera do niewoli. Obok niej (a może nie obok, ale poza wszelkimi kierunkami, na dnie czy na obrzeżu, nie wiadomo) jest też taka siła, która tworzy dobre rzeczy. Nie wiem.

Mój mąż tworzy tylko plany wojen, mapy podległych krain, buduje fortyfikacje, umacnia swoje wojsko – rośnie w siłę, żeby skuteczniej panować nad swoim ludem, którym jestem ja.